TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Ludwik Berger
Aleksander Bregman
Jan Kucharzewski
Janusz Laskowski
Józef Weyssenhoff
Kazimierz Wierzyński

Vol. 3. Nr. 49 (154) Nowy Jork, 16 grudnia — New York, 21, N. Y., December 16th, 1945 Cena 20 ct.



KOLEJKA NA KASPROWY WIERCH

ALEKSANDER BREGMAN (dla "Tygodnika Polskiego" z Londynu)

JEDNA ŚNIEŻNA ZAWIEJA...

Dzień po dniu propaganda sowiecka stara się wmówić światu, że wojnę wygrała Rosja. Sojusznicy zachodni "trochę pomogli" ale w gruncie rzeczy to się wogóle nie liczy. Rosja i jej bohaterska Czerwona Armja rozgromiła faszystowskie bestje i ocaliła świat. Niedawno jeszcze przypomniał o tem wcale nie dyskretnie p. Mołotow. Słuchając go można było sądzić, że nawet wojnę z Japonją wygrała właściwie Rosja. A cóż dopiero wojnę w Europie!

Wniosek oczywiście płynie stąd prosty: wszystkie narody świata, a już temberdziej ludy Europy środkowej i wschodniej muszą okazać dozgonną wdzięczność Rosji i jej armji. Bez niej gniłyby pod hitlerowskiem jarzmem. Rosja więc ma prawo żądać terytorjów i innych nagród, a armja czerwona, wyzwoliwszy kraje sąsiednie, ma święte prawo do wszystkiego: do kobiet i do zegarków i do wszystkiego, czego zapragnąć zechce.

Oczywiście nawet gdyby było prawdą, że zwycięstwo jest w pierwszym rzędzie czy nawet wyłącznie zasługą Rosji, to jeszcze nie wynikałoby stąd żadne prawo do terytorjów, grabieży i gwałtu. Ale co nas w tej chwili interesuje, to sama teza propagandy sowieckiej. Bo oto mnożą się świadectwa ukazujące rolę wojenną Związku Sowieckiego w bardziej prawdziwem świetle. I okazuje się że była ona znacznie skromniejsza niż nawet dość powszechnie zakładało się na zachodzie — nie mówiąc już o przechwałkach sowieckich.

Rewelacyjnym dokumentem jest pod tym względem raport amerykańskiego szefa sztabu gen. Marshalla za ostatnie dwa lata wojny niedawno ogłoszony w Waszyngtonie. Ten znakomity cieszący się wielkim autorytetem żołnierz nie obawia się mówić prawdy. Opiera się przytem na świadectwie nieprzyjaciela, który nie ma powodu obwijać faktów w bawełnę.

Gen. Marshallowi obca jest wszelka tromtadracja. Ma on odwagę stwierdzić, jak decydująco przyczynił się do zwycięstwa sojuszników — Adolf Hitler. W świetle jego raportu można powiedzieć, że wojna nietyle została wygrana przez sojuszników, co przegrana przez Niemców, którzy nie umieli wykorzystać swej przewagi. Niemcy nie mieli ogólnego planu wojny, oś zaś jako całość nie zdobyła się na uzgodnienie swoich zamierzeń. "Popędliwa strategja Hitlera wyszła poza wojskowe możliwości Niemiec i w końcu doprowadziła do klęski Niemiec". — Oto pełen skromności, głęboko uczciwy wniosek gen. Marshalla.

Etapy klęski Niemiec zostały dokładnie przedstawione przez generałów niemieckich przesłuchiwanych przez Sojuszników po kapitulacji. Było tych etapów siedem, a mianowicie: 1. Nieudanie się inwazji W. Brytanji; 2. Kampanja 1941 roku przeciw Zw. Sowieckiemu; 3. Stalingrad; 4. Inwazja Północnej Afryki; 5. Inwazja Francji; 6. Kontratak w Ardennach; 7. Sforsowanie Renu. Jak z tego widać tylko dwa etapy klęsk dokonały się na froncie wschodnim, natomiast pięć — na froncie zachodnim. Proporcja ta dowodzi, że tak jak w wojnie poprzedniej, i w tej wojnie decydującym był front zachodni.

Ale nie to jest najbardziej rewelacyjne w raporcie gen. Marshalla. Prawdziwą sensacją jest przedstawienia tła klęsk niemieckich na froncie wschodnim.

"Na jesieni 1941 po bitwie pod Wiaźmą Niemcy stali wyczerpani, ale — jak się zdawało — zwycięzcy pod Moskwą. Według gen. Jodla Sztab Generalny uważał, że ostatnie energiczne uderzenie wystarczałoby dla wykończenia Sowietów. Niemieckie naczelne dowództwo nie przewidywało, ani nie planowało kampanji zimowej. Nagła zmiana pogody przyniosła katastrofę. Obrona Czerwonej Armji, straszliwa zawieja śnieżna i wyjątkowy jak na porę roku mróz w tygodniu Bożego Narodzenia 1941 przyśpieszyły strategiczną klęskę niemieckich sił zbrojnych. Odrzucając wszelkie hamulce Hitler publicznie oznajmił że bardziej zawierza swojej intuicji, aniżeli opinjom swych wojskowych doradców. Zwolnił on ze stanowiska naczelnego wodza armji gen. von Brauschnitscha. Był to punkt zwrotny wojny.

"Nawet jednak i po klęsce pod Moskwą w 1941 Niemcy mogły uniknąć klęski gdyby nie kampanja 1942 której punktem kulminacyjnym była katastrofa pod Stalingradem. Lekceważąc wojskowe lekcje historji Hitler, zamiast zaatakować armje sowieckie zmasowane na północy, osobiście zaprojektował i poprowadził kampanję której bezpośrednim celem było pozbawienie Zw. Sowieckiego jego żywotnego przemysłu i surowców przez przecięcie Wołgi pod Stalingradem i opanowanie pól naftowych Kaukazu... Zarówno Keitel jak i Jodl oświadczają że nie byli zwolennikami kampanji stalingradzkiej, ale zalecenia nacz. dowództwa zostały obalone przez Adolfa Hitlera".

Tak wię c wygląda prawda o przyczynach klęski Niemiec w wojnie z Rosją. Poprostu z jednej strony, w momencie gdy wydawało się że nic nie może wyrwać im zwycięstwa, nagła zmiana pogody, potężna śnieżyca i straszliwy mróz obróciły zwycięstwo w klęskę, z drugiej zaś intuicja Hitlera raz po raz prowadziła strategję niemiecką na manowce.

Od dość dawno już wiadomo że sytuacja Rosji u progu zimy 1941 była nad wyraz krytyczna. Choć wszystkich obserwatorów cudzoziemskich usunięto z Moskwy w przededniu decydującej bitwy, to jednak później dyplomaci i dziennikarze zagraniczni zdołali zrekonstruować wypadki. Toteż wiemy dziś, że armja sowiecka była tak dobrze, jak pobita, demoralizacja szerzyła się gwałtownie, cale dywizje poddawały się Niemcom, nikt nie wierzył by Moskwa mogła być utrzymana.

I wówczas to nastąpiła owa zmiana pogody. W tym decydującym momencie śnieżyca i mróz dokonały tego, czego nie mógłby dokonać sam żołnierz sowiecki.

Z pewnością żadna śnieżna zawieja nie odegrała takiej roli w historji świata, jak owa grudniowa śnieżyca pod Moskwą. Nawet śnieg który spadł niespodziewanie na początku niemieckiej ofensywy pod Verdun w lutym 1916 zaważył na biegu dziejów w znacznie mniejszym stopniu!

* * *

Nad tą śnieżycą, która tak przeogromny wpływ wywarła na losy wojny, a tem samem na losy ludzkości, warto zastanowić się głębiej. Bo jeśli sama śnieżyca i mrozy była dziełem Opatrzności, to jednak ludzie odegrali tu także rolę olbrzymią. Nie było mianowicie bynajmniej zrządzeniem losu że Niemcy znaleźli się pod Moskwą dopiero w grudniu 1941. Wcale łatwo mogło się zdarzyć że dotarliby niemal do przedmieść stolicy znacznie wcześniej, albo choćby tylko o kilka tygodni wcześniej. A w tym wypadku żadna śnieżyca nie wiedzieć jak straszliwa nie uratowałaby Rosji od klęski".

Jeśli więc w grudniu 1941 cud uratował Sowiety, to cud ten stał się możliwy tylko dzięki tym, których ofiary i poświęcenuia opóźniły hitlerowski marsz na Moskwę. Stał się możliwy dzięki polityce i ofiarom Polski, W. Brytanji i Jugosławji.

Pierwsza w kolejności jest Polska. Zawsze było rzeczą jasną, że wypadki potoczyłyby się zgoła inaczej

gdyby Polska przyjęła propozycje niemieckie wspólnego uderzenia na Rosję. Teraz jednak gdy wykazane zostało jak mało w gruncie rzeczy dzieliło Sowiety od decydującej klęski w grudniu 1941, nie trzeba zaiste wiele fantazji aby wyobrazić sobie jak absolutnie nieuniknioną była klęska Rosji, gdyby Polska nie opóźniła tak bardzo poważnie momentu uderzenia Niemiec na Sowiety, lub zgoła gdyby wzięła w nim do spółki z Niemcami udział!

Polska — ta Polska przed-wrześniowa, dziś z błotem mieszana przez propagadzistów sowieckich, szkalowana jako proniemiecka czy profaszystowska — swą decyzję wrześniową uratowała Sowiety przed zagładą. Swiat cały zaciągnął u niej dług wdzięczności, o którym dziś chciałby zapomnieć, sojusznicy zachodni otrzymali dzięki ofierze Polski 10 miesięcy czasu, których niestety nie potrafili wykorzystać, ale nikt nie zawdzięcza Polsce tyle, co Rosja.

Drugim z kolei narodem, któremu zawdzięcza Rosja, że śnieżyca grudniowa 1941 r. mogła ją upratować, jest W. Brytanja. Nie trzeba chyba rozwodzić się nad tem jakby wyglądała sytuacja Rosji, gdyby W. Brytanaja skapitulowała w 1940 roku, gdy jej klęska wydawała się niemal nieunikniona, lub gdyby bitwa o W. Brytanję nie została wygrana przez lotników brytyjskich przy poważnym udziale lotników polskich . . .

Wreszcie Jugosławja. Przyczyniła się ona najbardziej bezpośrednio do tego, że Niemcy dotarli do bram Moskwy dopiero w grudniu. Jest bowiem rzeczą powszechnie wiadomą, że Niemcy początkowo planowali uderzenie na Rosję na maj 1941, tak aby załatwić się z nią przed zimą. Przed atakiem na Rosję musieli jednak Niemcy zabezpieczyć swe skrzydło bałkańskie, gdyż niefortunna wyprawa grecka Mussoliniego sprawiła, że wojska brytyjskie mogły stanąć na Bałkanach. Trzeba było je stamtąd wypędzić.

W marcu 1941 Niemcy kontrolowali Bułgarję, Rumunję i Węgry. Aby jednak móc swobodnie przerzucać swe wojska i móc zaatakować Brytyjczyków w Grecji, Niemcy musieli dysponować jugosłowiańskimi linjami kolejowymi.

Wydawało się, że uzyskanie zgody Jugosławji nie będzie rzeczą trudną. Przecież ks. Paweł i rząd jego był pozyskany dla sprawy niemieckiej. Jugosławja przystąpiła do paktu osi. Jeszcze kilka dni i niemieckie dywizje spokojnie przejeżdżałyby przez terytorjum jugosłowiańskie.

Ale stało się inaczej. 27 marca Jugosławja zbutowała się przeciw Hitlerowi. Oczywiście nie była to Jugosławja Tity i komunistów. Zbuntowała się Jugosławja króla Piotra, Jugosławja Michajłowicza — ta Jugosławja którą dziś propaganda sowiecka miesza z błotem jako faszystowską i reakcyjną . . .

Królewski zamach stanu w Białogrodzie wywalił cały niemiecki rozkład jazdy na rok 1941. Podbój Bałkanów zamiast na początku czy w połowie kwietnia zakończył się dopiero w końcu maja gdy skapitulowali ostatni obrońcy Krety. I zamiast w maju atak na Rosję nastąpił dopiero 22 czerwca. Temsamem zamiast w początkach listopada Niemcy znaleźli się u bram Moskwy dopiero w początkach grudnia.

Gdyby nie Polska, W. Brytanja i Jugosławja, nieoczekiwana śnieżyca z grudnia 1941 nie ocaliłaby Rosji. Żołnierze niemieccy siedzieliby w ciepłych kwaterach w Moskwie, swastyka powiewałaby nad Kremlem, a śnieg pokrywałby już tylko groby obrońców stolicy ZSSR....

* * *

Tak wygląda prawda o zwycięstwie w tej wojnie. To nie narody Europy winny dziękować Rosji za to, że je ocaliła, lecz właśnie Rosja powinna wdzięczną być Polsce, W. Brytanji i Jugosławji za to, że ją od zagłady uratowały. Zamiast kazać wznosić w stolicach podbitych krajów Europy wschodniej pomniki wdzięczności dla Czerwonej Aarmji Rosjanie sami powinni by wznieść pomniki tym którym zawdzięczają że przyszła dla nich godzina odwetu nad Niemcami.

Oczywiście nie liczymy na to by kiedykolwiek Rosja tę wdzięczność należną Polsce i innym narodom okazała. Wdzięczność jest wogóle rzeczą rzadką w polityce; słynne powiedzenie cesarza Franciszka Józefa, że "Austrja zadziwi świat swą niewdzięcznością" mogłoby być powtórzone przez wielu możnych tego świata różnych narodowości. Wiemy coś o tem . . . A już zpewnością jest to uczucie obce całkowicie kierownikom polityki sowieckiej. Im większy mają wobec kogoś dług wdzięczności, tembardziej go nienawidzą.

Niemniej przeto warto dziś, gdy nieprzytomna propaganda usiłuje wypaczyć prawdziwą wymowę wydarzeń wojennych, przekreślić wkład jednych a wyolbrzymić wkład drugich i wywodzić z tak zniekształconej historji nieistniejące zasługi i prawa, ustalić i zapamiętać jak to było naprawdę ze zwycięstwem na wschodzie. Warto i trzeba uświadomić sobie jak to się stało, że jedna śnieżna burza i jeden trzaskający mróz mogły odmienić bieg historji.

Pani Okulicka nie może porozumieć się z mężem
Prosi Polonję o Interwencję

Redaktor naszego pisma Jan Lechoń otrzymał od zamieszkałej W Tel-Avivie Pani Władysławy Okulickiej, żony Generała Leopolda Okulickiego, Naczelnego Wodza Armji Krajowej, skazanego i uwięzionego bezprawnie przez Sowiety, list zawiadamiający, że od pięciu miesięcy nie może ona porozumieć się z mężem, przesłać mu paczki i że wszelkie, rozmaitemi drogami czynione usiłowania nawiązania z nim kontaktu pozostały bezskuteczne. Pani Okulicka zwróciła się jednocześnie do Prezesa Rozmarka i nie wątpi, jak i my nie wątpimy, że w tej sprawie rozlegnie się jak zawsze jego głos stanowczy i donośny, mówiący za sześć miljonów Amerykanów Polskiego pochodzenia.

My ze swej strony otrzymawszy to wstrząsające pismo w chwili oddawania "Tygodnika Polskiego" pod prasę — sygnalizujemy naszym rodakom i wszystkim ludziom sprawiedliwym ten nowy dowód niewoli, w której Polska jest pogrążona, nowy dowód opuszczenia jej, nowy dowód losu strasznego Polaków, którzy walczyli nieugięcie o prawdziwą wolność.

Wierzymy, że głos Pani Okulickiej rozbrzmiewający w chwili gdy ludzie małego serca, zdrajcy i nieświadomi pragną wmówić w świat, że "porządek panuje w Polsce" wstrząśnie sumieniami i przypomni straszną prawdę o naszym kraju, przedewszystkiem zaś prawdę o zbrodni popełnionej na Generale Okulickim, którego uwolnienia nie przestaniemy się domagać.

JAN KUCHARZEWSKI

Odbudowanie Polski a państwa zachodnie

IV

SKUTKI ZMIANY W ZESPOLE SOJUSZNIKÓW

Alexis de Tocqueville w zakończeniu tomu I-go swego dzieła o Demokracji w Ameryce, wydanego w 1835 roku, przeprowadza dość niespodzianie krótką paralelę między dwoma narodami świata: Rosjanami i Amerykanami Stanów Zjednoczonych, wróżąc wielką, a odmienną przyszłość obydwom. Gdy Tocqueville pisał swe dzieło, Rosja carska znajdowała się u szczytu swej potęgi, a zarazem przeżywała apogeum władzy absolutnej carów. Była to połowa trzydziestoletniego niespełna panowania Mikołaja I, okres po zgnieceniu powstania przeciwników absolutyzmu — dekabrystów i po zgnieceniu powstania polskiego 1830-31 r. Gdy Tocqueville przybył do Newport, Rhode Island, 10 maja 1831 roku rozbrzmiewały właśnie głośnem echem krwawe walki powstańców polskich z armją rosyjską.

"Są w obecnym czasie — pisze Tocqueville—dwa wielkie narody na świecie, które zdają się dążyć do tego samego celu, jakkolwiek wyruszyły one z różnych punktów. Są to Rosjanie i Anglo-Amerykanie. Wyrosły one obydwa w mroku i, wówczas gdy uwaga ludzi zwrócona była w inną stronę, stanęły one niespodzianie w pierwszym szeregu narodów i świat dowiedział się niemal jednocześnie o ich przyjściu na świat i o ich ogromie".

"Wszystkie inne narody, zdaje się, dosięgły niemal swych granic naturalnych i pozostało im tylko zachowanie posiadania, te zaś są ciągle w stanie rozrostu. Wszystkie inne zatrzymały się lub posuwają się naprzód z wielkim wysiłkiem, te zaś idą przed siebie lekkim i szybkim krokiem po torze, którego kresu oko ludzkie nie może jeszcze dojrzeć".

"Amerykanin walczy z przeszkodami, jakie piętrzy przed nim natura; Rosjanin zmaga się z ludźmi. Pierwszy zwalcza pustynię i barbarzyństwo, drugi — cywilizację z całym jej rynsztunkiem. Przeto zdobycze Amerykanina osiągane są przy pomocy pługa oracza, zdobycze Rosjanina — przy pomocy szabli żołnierza".

"By osiągnąć swój cel, pierwszy opiera się na interesie indywidualnym i pozwala sile i rozumowi jednostek działać, nie dyrygując niemi. Ten drugiześrodkowuje niejako w jednym człowieku całą moc społeczeństwa. Dla jednego głównym środkiem działania jest wolność, dla drugiego niewola".

Jedną z niezliczonych ilustracji tej antytezy, jaką Tocqueville kończy charakterystykę porównawczą dwóch narodów, jest zestawienie dwóch wydarzeń z okresu, gdy Rosja właśnie opuszczała pole I-ej wojny światowej, zaś Stany Zjednoczone stopniowo wkraczały na nie. 8 stycznia 1918 roku Prezydent Wilson w orędziu do Kongresu nakreślił program pokoju, wyłuszczając czternaście punktów; 18 stycznia 1918 roku — zebranie Konstytuanty Wszechrosyjskiej. Rząd Kiereńskiego wyznaczył na 25 listopada 1917 roku powszechne, tajne i bezpośrednie wybory do Konstytuanty. W czasie wyborów u steru rządów byli już bolszewicy. Wybory dały decydujące zwycięstwo przeciwnikom i rywalom bolszewików, socjalistom-rewolucjonistom, którzy wraz z niewielką ilością konstytucyjnych demokratów (K. D.-Kadeci), dawnej liberalnej opozycji przeciwko absolutyzmowi carskiemu, stanowili decydującą większość. Konstytuanta zebrała się 18 stycznia 1918 roku. Wybrała na prezydenta socjalistę rewolucjonistę prawego skrzydła partji, Wiktora Czernowa. Żywot Konstytuanty rosyjskiej był krótki. Już następnego dnia, 19 stycznia została rozpędzona przez żołnierzy czerwonej armji jako *reakcyjna*.

Oto jak ocenia skutki wycofania się Rosji dla wyników I-ej wojny światowej, szef rządu sprzymierzonej z Rosją Francji, *ojciec zwycięstwa*, Jerzy Clemenceau. Będziemy cytowali wyjątki z jego wspomnień *in extenso*, by usunąć wszelką wątpliwość co do ścisłości odtworzenia jego własnego sądu:

"Niestety, należy mieć odwagę powiedzenia, iż nie przystąpiliśmy do wojny z programem oswobodzicieli. Pozwoliłem sobie niegdyś zalecić sojusz z Anglją, który w swym czasie nie był nam jeszcze zaofiarowany. Lecz car potrzebował naszych pieniędzy na swe parady wojskowe i polityka parad wówczas wzięła górę. Jeśli weźmie się pod uwagę mapę, wartość wojskowa sojuszu francusko-rosyjskiego była znaczna. Atoli rozwój akcji wojennej był zbyt nierówny w dwóch obozach sojuszu. Kapitulacja Rosji, niezdolnej do sprostania wysiłkowi wojennemu, zmieniła przesłanki zagadnienia, grupując dokoła nas siły, dążące do odbudowy narodowej, która nie dała się pogodzić z obecnością cara w naszych szeregach. Wkroczyliśmy do wojny o własne wyzwolenie, odwołując się do wszystkich żywiołów oporu i oto, w ogniu walki, rosyjscy zapaśnicy ucisku europejskiego załamali się w zmaganiu się z zapaśnikami niemieckimi, walcząc z tem, co żyło jeszcze w narodach rozczłonkowanych".

"Na przykładzie bohaterskiej Polski umysł czytelnika uprzytomni sobie całą sprawę. Trzeba by odtworzyć całą historję tragiczną, by roztoczyć groźny obraz całości i przedstawić ociekający krwią pochód nieszczęść ludzkich, przecierpianych dla zachowania ojczyzny, najwyższego schroniska dla ducha narodu, który chce zająć swe dostojne miejsce w zespole ludzkości".

"Nagle, przez haniebny pokój w Brześciu Litewskim, uwolnieni zostaliśmy od rzekomej pomocy sojuszników gnębicieli, by pokrzepić nasze wyższe siły moralne przez zetknięcie się z ludami uciśnionymi od Adrjatyku do Belgradu, od Pragi do Bukaresztu, do Warszawy do krajów Północy, które nie odzyskały jeszcze utraconej równowagi".

"Niespodzianie, gdy wojna szalała w najlepsze, obraz celów wojennych uległ całkowitej zmianie. Przystąpiliśmy do wojny, jako sojusznicy rosyjskich gnębicieli Polski, z żołnierzami polskimi Śląska, Galicji, walczącymi przeciwko nam. Przez załamanie się Rosji wojskowej, Polska odrazu została wyzwolona, odrodzona i oto w całej Europie narodowości podnosiły głowę, i wojna nasza z obrony narodowej przekształciła się, siłą rzeczy, w wojnę wyzwoleńczą".

"Postać pokoju uległa przeto całkowitemu przeistoczeniu. Pokój prawa, Europa wsparta na prawie, twórczyni państw niepodległych, których siła wojskowa powiększyła się o całą energję moralną, wzniecona przez potrzebę grania roli we wszystkich dziedzinach życia międzynarodowego, czyż to nie tworzy całokształtu sił, wyższych od tych, które mogą płynąć z mocnego obwarowania granicy? Kwestja zostaje rozstrzygnięta jednocześnie z postawieniem jej. A więc z każdego punktu widzenia, kojarzą się zagadnienia siły wojskowej i siły moralnej, by utworzyć nieuchwytne szańce niepokonanej mocy, o którą rozbije się dziki atak napastników".

---

*) Petite Biblioteque Americaine. Institut Francais de Washington, Tocqueville. De la Democratie en Amerique. Princeton University Press 1943; str. 51, 52. Tłomaczenie angielskie: Democracy in America by Alexis de Tocqueville, translated by Henry Reeve. Revised Edition. Vol. I. The Colonial Press. Fifth Avenue, New York, 1930, pp. 441, 442.

"Wstrząśnięta przez swą rewolucję, Rosja szamoce się w stanie anarchji, z której pobite Niemcy korzystają, aby wykonywać przeciwko nam ataki ofensywy. Niemcy i Austrja, zwyciężone, zmuszone do wypuszczenia z rąk zdobyczy, patrzą na przywracaną narodom pełnię ich godności narodowej, która dźwiga się ze wszystkich stron, aby żądać od nas odbudowania narodów".

"Europa prawa zamiast Europy rozczłonkowanej, była to najpiękniejsza niespodzianka. Niemcy, tak samo jak Austrja i Rosja, żyły z ciała narodów podzielonych. Narodowości gasnące miały teraz odrodzić się. W całej Europie nakoniec słowa prawo, wolność, sprawiedliwość będą miały znaczenie".

"Przypomnieć należy rozbiór Polski, największą zbrodnię historji, a która zostawi znamię wiecznej hańby na imieniu Katarzyny, Marji Teresy, Fryderyka II. Nigdy zamach nie był mniej wybaczalny, nigdy gwałt przeciwko ludzkości nie wołał głośniej o naprawienie, które zostało odroczone do nieskończoności. Krzywda była taka, że w żadnym okresie życia Europy, wśród tylu innych gwałtów, nie mogących być odpokutowanemi, sąd o tamtej krzywdzie nie mógł ulec złagodzeniu. Stała się ona przysłowiowa w dziejach jako jedna z najgorszych zbrodni, jakie obciążyły rachunek naszej "cywilizacji".*)

* * *

Z wrażeniem czytamy te słowa potępienia dla sprawców rozbiorów Polski i dla przeciwników jej wskrzeszenia. Lecz, jak wiemy, głosy współczucia dla Polski i potępienia dla jej ciemiężców rozlegały się stale, począwszy od pierwszego rozbioru Polski, w ciągu niespełna półtora stulecia. Polska długo czekała napróżno, aż zjawi się człowiek, możny stanowiskiem swego narodu i własnem w świecie, który odbudowę jej postawi nie jako manewr polityczny własnej strategji, jak Napoleon I, lub jako oderwany postulat moralny, lecz jako punkt konieczny i bezinteresowny żywego programu polityki międzynarodowej. Człowiekiem tym był Prezydent Wilson. Wiemy o zasłudze Ignacego Paderewskiego i inspirowanego przez niego w sprawie polskiej pułkownika House'a w dziele związania szlachetnej duszy Wilsona z tą sprawą. Sprawę niepodległości Polski Wilson postawił już w swem orędziu z 22 stycznia 1917 roku, gdy jeszcze państwo alianckie, pretendujące do zaboru ziem polskich, stało w szeregu sojuszników.

Wilson poddany został ostrej krytyce ze strony, nietylko niemieckich, lecz i wielu alianckich polityków i pisarzy europejskich i szeregu amerykańskich. Zarzucono mu abstrakcyjność koncepcji politycznych, nieznajomość spraw europejskich, wizjonerstwo i upartą apodytyczność sądów. Twierdzono, iż był raczej moralistą, teologiem, kaznodzieją, niż mężem stanu. Ze wspomnień Lloyd George'a, Churchilla, Johna Maynard Keynes'a, wyziera zniekształcone oblicze polityczne Wilsona. Było sporo słuszności w uwagach krytycznych; lecz różne braki jego i błędy nie mogą pozbawić znamion wielkości jego postaci historycznej. Niepowodzenia, zawody jego wynikały nietylko z jego błędów, lecz i stąd, że idee jego wyprzedziły wiek, był to prekursor przyszłości. Ideały jego nie zostały ziszczone, ani wówczas, ani dziś, lecz nie były to utopie niezniszczalne, sprzeczne z naturą społeczeństw ludzkich. Był on żarliwym propagatorem wprowadzenia zasad moralnych do polityki międzynarodowej. Lecz przecież nie ten postulat jest utopją; utopją i to cyniczną, jest wiara w możność usunięcia zasad moralnych z polityki międzynarodowej i dojścia tą drogą do trwałego pokoju. Zejście z drogi budowania ustroju świata na drogiej Wilsonowi zasadzie stanowienia narodów o sobie, a odgrzewanie zdyskredytowanych przez doświadczenia dziejowe zasad granic strategicznych, sfer wpływów i innych utopij pochodzenia imperjalistycznego prowadzi tylko do krwawego chaosu.

Przełomową chwilą dla ludzkości będzie ta, gdy wielki idealista dnia wczorajszego Wilson uznany będzie za zapoznanego realistę.

Porządek panuje w Warszawie, mówił przed stu z górą laty po zajęciu stolicy Polski przez najeźdźców utopista cynizmu. Nad Warszawą zburzoną i opuszczoną unosi się duch Wilsona, jako wyrzut dla współczesnych i jako nadzieja dla potomnych.

---

*) Georges Clemenceau. Grandeurs at Miseres d'une Victoire. Paris, Librairie Plon. 1930, str. 156-162. Tłumaczenie angielskie: G. Clemenceau. Grandeur and Misery of Victory. New York 1930. Harcourt, Bruce and Company 1930. Str. 190-194.

*) Weźmy uwagi o nim w The Economic Consequences of the Peace by J. M. Keynes. New York, 1920, str. 41: "This blind and deaf Don Quixote"; i dalsze uwagi, str. 41 i następne.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

S Z U M

Nie bój się, miła, tego szumu,
Co idzie z morza i od drzew;
Skądś, z poza słuchu i rozumu
Po nocy krąży, jak w nas krew.

Nie bój się, miła, to też wiedza,
Mądrość tajemna i bez dna,
Pociemku szuka i nawiedza
Bezsennych tak jak ty i ja.

To jest jedyny znak i mowa
Jaką ci stamtąd przyśle tu
Ta sama noc październikowa
I wiatr ten sam i szelest dżżu.

Ta sama myśl z pod dna rozumu,
Przez świat biegnąca wzdłuż i wszerz.
Nie bój się, miła, tego szumu:
Oni go słyszą. Nie, śpią też.

JANUSZ LASKOWSKI

Personel sanatorjum morduje pacjentów

Wiesbaden, 16 października 1945 r.

Jestem pod silnem wrażeniem procesu, który wczoraj zakończył się późnym wieczorem w Wiedesbaden. I chociaż staram się uszeregować swoje wrażenia i przeżycia, przychodzi mi to niezwykle trudno, bo też niezmiernie wiele spraw muszę podkreślić, pisząc o tym procesie. Przedewszystkiem muszę stwierdzić, że była to pierwsza rozprawa niemieckich zbrodniarzy wojennych przed Trybunałem amerykańskim.

I dlatego wywołała powszechne zainteresowanie, skupiając w loży prasowej korespondentów wszystkich pism i wszystkich narodowości.

Drugiem stwierdzeniem wielkiej wagi jest fakt, że przed Trybunałem stanęło 7-mioro Niemców — 6-ciu mężczyzn i jedna kobieta — którzy pracowali w sanatorjum w Hadamar pod Wiesbadenem. Oskarżeni byli przedstawicielami "samarytańskiego" zawodu i mieli nieść pomoc ludziom chorym. Nieśli zaś śmierć.

Wreszcie trzeciem, najdonioślejszem stwierdzeniem jest założenie prawne procesu. Tego jednak nie zrozumiemy, póki nie poznamy okoliczności zbrodni.

No i wreszcie ważne dla nas będzie to, że autorem koncepcji prawnej, która stanie się precedensem w przyszłych rozprawach przeciwko zbrodniarzom niemieckim jest Amerykanin polskiego pochodzenia płk. Leon Jaworski.

Niechże mi więc mój Szanowny Czytelnik amerykański wybaczy skróty, któremi będę operował, ale w przeciwnym razie nie zmieszczę się w ramach jednej korespondencji. A zmieścić się muszę i muszę te wszystkie punkty omówić.

W Hadamar oddawna istniało sanatorjum, znajdujące się pod dyrekcją dra Wahlmanna, wywodzącego swój dyplom lekarski z wszechnicy o światowej sławie: z Heidelbergu.

W sanatorjum tem na długie lata przed wojną nie było ciężko chorych. Przyjeżdżali tu ludzie mający początkowe stadja gruźlicy. Korzystali z klimatu łagodnego, pięknych lasów, czerwienią oblanych w jesieni, zazielenionych na wiosnę i dojrzale szumiących wysokiemi koronami drzew w lecie. Ja znam i kocham muzykę lasu. I wiem, że tutejszy las nie co innego śpiewa, jak wspaniały galop Walkirji. Namiętny, pierwotny las pożądań i tęsknot, miłości i nienawiści. Tylko w takich lasach mógł Tanhauser spędzać swe pożądliwe noce w grocie Wenus. I tylko wśród takich lasów mogła wylęc się myśl dzika o uśmiercaniu chorych.

Zaczęło się od umysłowo chorych.

Właśnie wówczas sanatorjum w Hadamar zaczęło zatracać dotychczasowy charakter, stając się domem umysłowo chorych. Zbędny stał się stary aparat Roentgena. Zbędna stała się nieźle zaopatrzona apteczka sanatoryjna. I zbędne stało się wszystko, co nadawało niewielkiemu domkowi dwupiętrowemu cechy zakładu leczniczego.

Natomiast potrzebny stał się teren jakiś, — kawałek ziemi nieuprawnej, gdzie możnaby było grzebać trupy ludzkie, produkowane przez "sanatorjum".

Chorych truto zastrzykami olbrzymich dawek morfiny i scopolaminy, oraz proszkami i truciznami dawanemi doustnie.

To też zakładowi bardziej stał się potrzebny grabarz, niż lekarz.

Tak trwało do roku 1941-go, kiedy wyszedł tajny okólnik, nakazujący uśmiercanie chorych na gruźlicę. Wówczas w Hadamar znów zaczęli się pojawiać dawni znajomi. Ale przyjeżdżali tu nie w celach oddechania czystem powietrzem hesseńskich lasów, rozśpiewanych potężnemi frazami Wagnera. Przyjeżdżali tu po śmiertelny zastrzyk.

No i w roku 1944-ym konferencja odbyta w Wiesbaden pod auspicjami tutajszego Urzędu Pracy ustaliła, że należy uśmiercać nietylko Niemców, ale również i robotników codzoziemskich, którzy mają choroby płuc.

W ten sposób cmentarz małego sanatorjum powiększył się od sierpnia 1944 roku do marca 1945 r. o 476 rosyjskich i polskich mieszkańców, śpiących snem wiekuistym w wielkich mogiłach zbiorowych.

Rzeczywistość przedstawia się tak: Wywiezieni przemocą na roboty do Rzeszy Polacy i Rosjanie byli napewno ludźmi zdrowymi, bo chorych Niemcy nie zabierali na roboty. W okropnych warunkach pracy i mieszkań ludzie ci tracili zdrowie. Potem lekarz niemiecki udzielał im krótkich urlopów wypoczynkowych i kierował do sanatorjum w Hadamar. I tu — pierwszego dnia — natychmiast po zapisaniu się w księdze chorych Polacy i Rosjanie kładli się do wyznaczonych łóżek. Przychodził sanitarjusz, a do kobiecych sal — siostra miłosierdzia i bez żadnego badania lekarskiego, dawała zastrzyk. Smiertelny zastrzyk, — oczywiście!

Smierć następowała zawsze w okresie od 20 minut do półtorej godziny. Zeznają to wszyscy świadkowie i nawet sami oskarżeni.

Prawnie zaś rzecz przedstawia się całkiem inaczej. Następująco:

Prawo niemieckie dozwalało uśmiercanie umysłowo chorych. Tajny okólnik nakazał czynić to samo z chorymi na gruźlicę. A wreszcie zarządzenie miejscowe nakazało uśmiercać nietylko Niemców, ale i cudzoziemców.

Tego właśnie uczepiła się obrona niemiecka, twierdząc, iż oskarżeni nie popełnili żadnej zbrodni. "Oni wykonywali obowiązujące ich prawa. A że nawet w demokratycznych państwach obywatele obcy podlegają prawom kraju, w którym przebywają, — więc zamordowani Polacy i Rosjanie stracili życie w sposób zgodny z prawem".

Taka jest teza obrony.

— A czy zgodne z prawem ludzkiem jest 476 utraconych istnień kobiet, mężczyzn i dzieci? I czy zgodne z naszemi poglądami sprawiedliwości jest puszczanie wszystkiego w niepamięć?

Tu dochodzimy do strony prawnej procesu. I do osoby płk. Leona Jaworskiego.

"Obchodzi nas złamanie prawa międzynarodowego. Ze Niemcy mieli takie prawa, które pozwalały im mordować bezkarnie — nie jest naszą rzeczą. Ale fakt, że jedna strona wojująca wywiozła przemocą obywateli drugiej strony wojującej, a potem obywateli tych zamordowała obchodzi nas. I tylko to jest przedmiotem sprawy".

Takie ujęcie uzasadniał i przeprowadził prokurator publiczny z ramienia amerykańskiej Komisji do Badania Zbrodni Wojennych — płk. Leon Jaworski. Trybunał podzielił jego opinję.

I dlatego przed sądem zeznawała, jako świadek, niejaka Zachow, która będąc sanitarjuszką hadamarskiej fabryki śmierci sama własnoręcznie dawała mordercze zastrzyki. I nie jest w procesie oskarżona, bo przypadek zrządził, iż pracowała przez cały czas na pierwszem i drugiem piętrze "sanatorjum". A tam byli tylko Niemcy. Polaków ani Rosjan nie było w tamtych pokojach.

Innemi słowy prokurator płk. Jaworski pouczył Niemców szacunku dla innych narodowości.

Sprawa była ohydna. I wykazała ogrom niezrozumiałych dla mnie zbrodni. Głównym oskarżonym był Alfons Klein, dyrektor administracyjny zakładu. To właśnie on jeździł na wszelkie konferencje do Wiesba-

den, aby informować Urząd Pracy o "możliwościach" sanatorjum. Zeznaje przed sądem wyraźnie i jasno:

"Kiedy przyszedł transport złożony z 70-ciu pacjentów Polaków i Rosjan nasz grabarz nie mógł dać rady. Pracował przez cały dzień bez przerwy. Odległość sanatorjum od cmentarza jest poważna i grabarz musiał ją kilkakrotnie przemierzać z taczką, na której wywoził trupy. Dlatego pojechałem do Wiesbaden, aby zatrzymać następne transporty i powiedzieć, że my nie możemy "załatwić" więcej, niż 40-tu pacjentów dziennie".

— Ohyda!

Ja nie chcę o potwornościach pisać. Nie chcę przytaczać słów Bluma, grabarza sanatoryjnego, kiedy tłumacząc sądowi swoją pracę, twierdził:

"Na taczce mieściło się trzy trupy, ale można było jeszcze dodać dziecko. I dodawałem zawsze "na czwartego", jeżeli były dziecięce trupy".

Skończę dzisiejszą korespondencję zagadnieniem prawnem.

Czy grabarz jest winien, czy nie?

Sąd orzekł, że winien. Bo winien jest każdy, kto uśmiercał, lub miał jakikolwiek związek ze zbrodnią uśmiercania Polaków i Rosjan, i wiedząc o zbrodni pomagał w jej popełnianiu.

Jest to stwierdzenie ważne. Nawet niezwykle ważne, bo wytrąca we wszystkich następnych procesach broń Niemcom, zasłaniającym się wykonywaniem rozkazów. I znowuż sprawił to płk. Leon Jaworski jasnem oświadczeniem:

"Gdybyśmy dopuścili chociaż na chwilę tezę obrony niemieckiej, musielibyśmy uznać, że za wszystkie zbrodnie niemieckie odpowiedzialny jest jeden człowiek: Adolf Hitler. A wiemy, że tak nie jest, chociaż w ustroju dyktatury niemieckiej Adolf Hitler był nietylko źródłem władzy, ale zarazem był źródłem prawa".

A teraz kilka słów o przyszłości i o wyroku.

Administrator kliniki Klein został skazany na śmierć. Powieszeni też być mają starszy sanitarjusz Ruoff i jego pomocnik Willig. Naczelny i jedyny lekarz zakładu dr. Wahlmann został skazany na dożywotnie ciężkie roboty, ponieważ Trybunał uznał za okoliczność łagodzącą to, że dr. Wahlmann ma 70 lat. Biuralista kliniczny — Merkle — otrzymał 35 lat ciężkich robót, grabarz Blum — 30 lat ciężkich robót, a starsza siostra Huber — 25 lat ciężkich robót, albowiem Trybunał uwzględnił jej płeć.

Wyrok jest surowy i sprawiedliwy. Ponieważ zaś jest to pierwszy wyrok na niemieckich zbrodniarzy wojennych wydany przez Trybunał amerykański, założenia prawne stają się automatycznie prawem. Powszechnie



Płk. Leon Jaworski

jest bowiem przyjęta zasada uznawania precedensu za obowiązujące prawo.

Wnioskiem praktycznem tej sprawy jest więc ukręcenie łba niemieckim próbom zwalenia całej odpowiedzialności za zbrodnie na kierowników państwa hitlerowskiego i obronienie przed stryczkiem ogromnej ilości Niemców.

I tu dochodzimy do zasługi człowieka, — zasługi wobec ciemiężonej przez długie lata Europy, zasługi wobec ludzkości i zasługi wobec prawa, które człowiek ten zdołał ożywić najszlachetniejszym duchem praktycznej sprawiedliwości.

Dochodzimy do zasługi płk. Leona Jaworskiego.

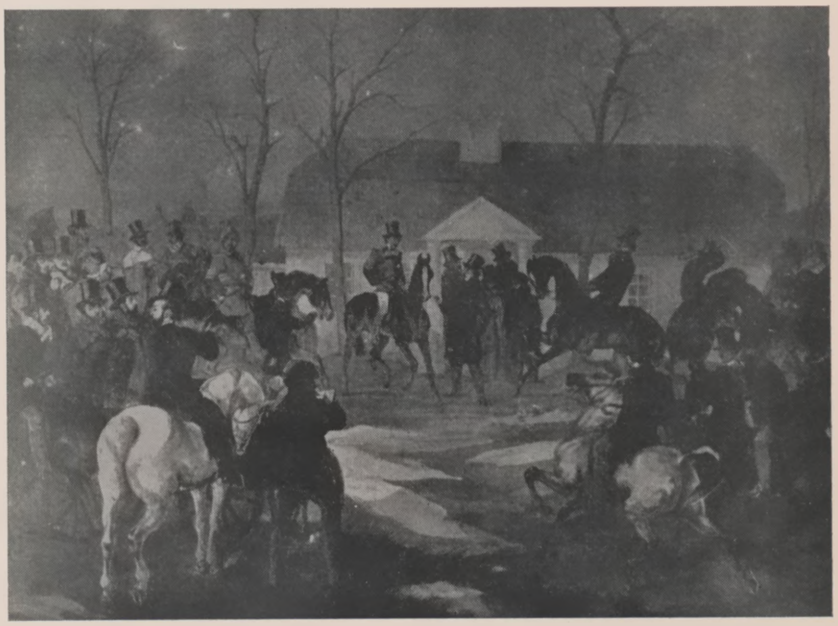
I dumni być możemy, że w tej pierwszej rozprawie podwaliny nowego prawa położył *polskiego* pochodzenia Amerykanin, umiejąc nietylko wypracować zasady, na których oparł się proces, ale umiejąc zarazem odeprzeć wszystkie zakusy obrony niemieckiej na pozostawienie bez echa ohydnego mordu.

"Gdybyśmy się oparli na niemieckiem prawie, oparlibyśmy się na prawie zbrodni i gwałtu, na prawie mordu i barbarzyństwa, dla którego niema miejsca w świecie XX wieku", — mówił płk. Jaworski.

W ogromie zniszczenia i łez, w ogromie nieszczęścia i klęski oczy Europy skierowane są ku Stanom Zjednoczonym. Odpowiedziały one surowym wyrokiem na zbrodniarzy niemieckich, odpowiedziały, że rozumieją zagadnienia Europy. Odpowiedziały że słyszą zew o ratunek. Odpowiedziały stanowczo i jasno.

Jesteśmy i powinniśmy być dumni, że na odpowiedzi tej zaważył głos człowieka o krwi polskiej, płk. Leona Jaworskiego, który umiał i chciał być w pierwszym procesie przed Trybunałem amerykańskim ambasadorem pognębionych i sponiewieranych ludzi, o których śmierci zapomniałby świat, tak samo, jak zapomniał o nich za życia.

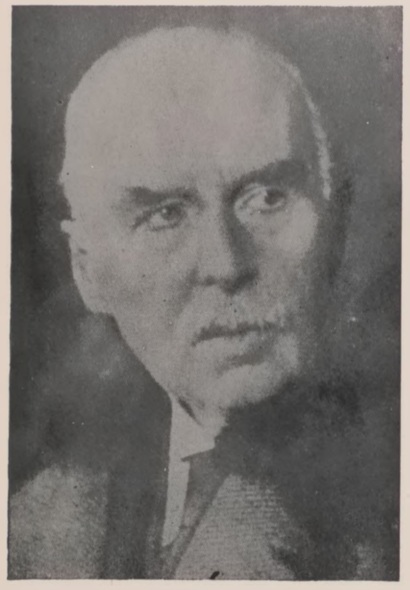
ZE SZTUKI POLSKIEJ



JULJUSZ KOSSAK:
WYJAZD NA POLOWANIE

ZŁOTE KARTY POLSKIEGO PIŚMIENNICTWA

Józef Weyssenhoff: "SOBÓL I PANNA" (Chaskiel)



Józef Weyssenhoff

VI

CHASKIEL

Myślistwo jest od wieków zabawą królewską, ale przed tym szeregiem wieków było kapitalnem zajęciem ludowem, częścią życia każdego dorosłego mężczyzny, i wtedy to nosiło w sobie cechy niespożyte, było walką człowieka ze zwierzem i doświadczalnem zgłębianiem tajemnic przyrody przez człowieka. Siła i urok pierwotnego myślistwa przetrwały w instynktach nietkórych łowców, prostaków w nauce, ale mistrzów w obcowaniu z przyrodą, albo takich ludzi cywilizowanych, którzy umieją zdziceć na pewien czas, aby odpocząć od nudów i trosk cywilizacji.

W starym naszym świecie wiele urządzeń zwietrzało i nachyliło się do upadku. I polowania królewskie utraciły swą istotną treść, zmieniając się w rzezie, doskonale przygotowane. — Ale pierwotny instynkt łowca nie przeminął, gra i rozpala się w młodych, w urodzonych myśliwych, okrasza nawet łowy królewskie i na ich wzór organizowane polowania wielkopańskie.

Coś podobnego marzyło się Michałowi Rajeckiemu, podczas jazdy sankami przez piękne i rozległe bory księcia Jerzego S, położone na południu Królestwa. Podczas ferji zimowych przyjechał Michał w te dalekie strony, dostawszy zaproszenie na słynne polowania. odbywające się tu w pierwszych dniach stycznia.

Tego dnia polowano na dziki. Szereg kilkunastu sanek, zajeżdżał na pierwsze stanowisko, wioząc myśliwych i przybocznych ich strzelców. Sanki sunęły bez dzwonków krętą drogą między nawisłemi konarami drzew iglastych, osypując z nich śnieg na konie i ubrania ludzi; wynurzająca się z gąszczu podwoda wyglądała, jak część lasu jednolita, zaśnieżoną dziczą, oderwana i cicho płynąca. Czasem tylko płozy zadudniły głucha, uderzając w wybujały korzeń. Poranne niebo nad borem, białe, zaledwie mroźne, zapowiadało nowy śnieg. A może dotrzyma pogoda do wieczora?

Michał siedział w saniach oznaczonych liczbą 4, razem z przygodnym towarzyszem panem Wiktorem Liebem, którego tutaj dopiero poznał. Pan Liebe, człowiek czterdziestoletni i zimny, wydawał się zewszechmiar obcym Michałowi, a nawet psuł mu przez swe towarzystwo urok polowania. Najbardziej to korciło Michała, że mu towarzysz dawał nauki techniczne o broni, strzale i obowiązkach myśliwego, a on, Michał Rajecki, choć dopiero student uniwersytetu, miał się już za wygę w łowiectwie.

Zaświeciła naprzykład pośród wysokiej ciemni lasu smuga, porośnięta młodą olszyną i suchem sitowiem około zaśnieżonego łożyska ruczaju. Michał widział już nieraz taką pozycję w lasach konieńskich i, pociągnąwszy nozdrzami znajomego zapachu, zawołał:

— Tutaj, panie, stanowisko na lisa, co?

Pan Liebe zaś, zmierzywszy młodzieńca wzrokiem zimnym, zawyrokował:

— Niema tu lisów w głębi lasów; lis trzyma się tam, gdzie ma polowanie na drobniejszą zwierzynę, bliżej pól i zagajów. — Gdzie niema zajęcy, królików, kuropatw i tym podobnych, tam nie spotka pan i lisa. A tutaj tylko dzik, sarna, kuna leśna, zrzadka zając większego gatunku, trochę bardziej siwy.

— Bielak — wtrącił Rajecki.

— Nie, panie. Bielaków tutaj wogóle niema. Ich strefa zaczyna się dopiero od Niemna i dalej na północy-wschód.

Michał notował w pamięci, co mówił Liebe, czując, że nudny myśliwy ma słuszność, ale niechętnie przyznawał się do swych braków doświadczenia.

— Polowałem głównie na Litwie — rzekł po chwili — tam inna knieja, odmienna zwierzyna. — Czy pan kiedy strzelał pardwy?

Paręset ich zabiłem w okolicach Pskowa, nad Pejpusem, tam dopiero ich prawdziwa dziedzina.

— A zabił pan kiedy rysia?

— Mam dwa rysie i trzy żbiki w mojej książce myśliwskiej.

"Niech cię djabli" — chciałby powiedzieć Rajecki, nie mogąc zaimponować Liebemu ani pardwami, których dość już dużo nabił, ani rysiem, którego nigdy w lesie nie widział. Przytem Liebe nie wyglądał na zwykłego w myśliwskiem rzemiośle łgarza, musiał to wszystko widzieć i wykonać, co mówił. Tylko mówił, jak książka, jak docent, łuskający ziarna cyfr i praw z kwiatów poezji, z tego wszystkiego, co żyje, pachnie, odurza w opowiadaniach istotnego myśliwca.

To też z podwójnem zadowoleniem ulgi od towarzysza i dopięcia celu wyprawy doczekał się Miś zatrzymania szeregu sanek na rozstajnych drogach, gdzie stary łowczy, Kowalski, w mundurze ze szlifą, oczekiwał na przyjazd księcia i jego gości. Obok łowczego stało paru strzelców umundurowanych, wyprężonych po żołniersku.

Ani powitalnego sygnału na trąbkach, ani głośnych rozmów. Kilka cichych ukłonów, krótka konwersacja księcia Jerzego z łowczym i równie przyciszona komenda, aby myśliwi szli za Kowalskim, który im wskaże stanowiska.

Sunie cicho drożyną szereg postaci przemyślnie ubanych, szarych, jak kora, zielonych, jak mchy, starając się udawać ruchami niedościgłą zręczność i ostrożność dzikiego zwierza. Ale gdyby nie piekielne wynalazki zabójczych maszyn, gdyby nie zmowa wielu, tworząca siłę, gdzieby też człowiekowi do ostrożności wilka, do lekkości jelenia, do siły dzika! Jedyną wyższość człowieka stanowi ta wyrobiona od pokoleń pretensja panowania nad przyrodą ten wyostrzony instynkt przyciągnięcia do siebie całej rozkoszy, która żyje i pleni się po ziemi.

Coraz to ktoś z szeregu pozostawał na stanowisku, oznaczonem liczbą na zatkniętym, nieokorowanym paliku. Była komenda zachowania ciszy, niepalenia tytoniu i niedawania pierwszego strzału do innej zwierzyny, jak do dzika.

Michał Rajecki otrzymał stanowisko pod liczbą 4 i wróżył sobie dobrze z tego numeru, który nie zawiera złowrogiego prognostyku, jak nprzykład 7 lub 13. Myśliwy zabobonny jest, jak gracz. Szmat lasu naokoło stał się teraz terenem troskliwych konjunktur młodego strzelca. Stoi za ośnieżoną jodłą, osłonięty przez nią od strony zajmowanego ostępu — to dobrze — tylko, że bardzo mało widoku ma przed sobą — trzeba kordelasem obrąbać chociać te kilka gałęzi. — Linja, na której stoją myśliwi, wąska, prawie zagubiona pośród zwierających się konarów — i strzelać po linji nie wolno. — W razie przejścia zwierzyny przez linję, strzał za siebie wygodny tutaj, na prawo gdzie las jakby wyleniał rzadką, podłużną zatoką. — Coby szkodziło dzikowi wpaść właśnie w tę zatokę? — Michał, wyobrażając sobie w tem miejscu cień ogromnego dzika, z lubością przeprowadzał go lufami sztućca aż do miejsca wymarzonego strzału.

Opatrzył potem sztuciec, który po raz pierwszy nosił w lesie, kupił go bowiem przed kilku dniami od znajomego i wypróbował tylko do celu. Dwururowy ten "express" miał być znakomity, jednak Miś zauważył z nieukontentowaniem, że dwóch tylko myśliwych tutaj miało broń podobną, z kurkami i do dymnego prochu; inni nosili bezkurkowe i bezdymne, nadzwyczaj lekkie i składane sztućce nowej budowy. Zazdrościł im Miś z całego serca. — No, ale przecie ma i on dwie groźne kule w lufach, które podobno już niejednego położyły dzika, a nawet niedźwiedzia . . . Sciskał w garści i oglądał na wszystkie boki swe narzędzie strzeleckie, główny przewodnik do rozkoszy i triumfów boru. Sztuciec leżał dobrze w ręku, nie przeważając zbytnio lufami naprzód, ale miał przykład zpoduszką niezręczny dla Michała i kolbę za mało złamaną. Rajecki złożył się kilka razy, mierząc na wszystkie strony, aby się przygotować do szybkiego strzału.

Zimowy las milczał, jak zaklęty; drzewa w swych śnieżnych futrach spały wspaniale. Jeżeli gdzie osunął się szmat śniegu i, rozproszony przez niższe gałęzie, spadał srebrnemi puchami, to było raczej oznaką zbliżającej się odwilży, niż jakiegokolwiek ruchu w lesie.

Ogarnęło młodzieńca trzeźwe marzenie na podobieństwo snu, którego dekoracja byłaby dotykalna. Wszędzie wokoło te nieprzejrzane w swej rozmaitości kształty, tułowie, twarze, skłębienia ważkiej okiści śnieżnej, rozwieszone po powietrzu, rozwalone po ziemi, — z których układu odczytuje myśliwy awanturnicze historje. Myśl dzienna, radość, czy troska, wiesza się po tych bezmiarach, traci na wadze i ścisłości, ale zyskuje ogromną lotność i przenikliwość w dziedziny przeczuć i wrażeń nieuświadomionych. Płyną do cię głosy bez falowania powietrza, pojmujesz budowę niestworzonych kształtów, logikę urojonego życia. Pryska to przy pierwszym usłyszanym gwarze ludzkim.

Odezwał się zdaleka sygnał trąbki — odpowiedział drugi, znacząc skrajne posterunki ruszającej na myśliwych nagonki. I bardzo słaby jeszcze, ale szeroki i radosny, doleciał pierwszy okrzyk idącego tłumu.

Michał chwycił sztuciec, odwiódł kurki i, przyglądając się własnym rękom, stwierdził, że drżą. Wysiłkiem rozumowania doprowadził się do spokoju. Stojąc nieruchomie, jak pień, oczyma tylko lustrował, jak mógł najgłębiej, zwikłane przepaście leśne.

Od czasu do czasu grał sygnał zdaleka, to na prawo, to na lewo. Michał, będąc, po raz pierwszy na tak paradnem polowaniu, nie znał jeszcze nut tych wszystkich melodyjnych porozumień między myśliwymi, służbą łowiecką i nagonką. Zgadywał jednak, że te sygnały, które słyszy, znaczą: "lewe skrzydło prędzej!" — "prawe wolniej!" i tym podobne komendy. Ale naraz zadzwoniło hasło gwałtowne, grane na wielu trąbach w różnych miejscach, fałszywe od wzruszenia i pośpiechu — jednocześnie wybuchł z pośród naganki wrzask, niby zgrozy i trwogi. Tam już zobaczono dziki!

Nie działo się jeszcze nic w promieniu widoku Michała. Tylko śnieg, zakołysany wrzawą, oderwał się tu i ówdzie od drzew i chlapnął miękko na ziemię, tylko parę sójek zbudzonych zerwało się, wrzeszcząc i sypiąc białe strumienie z miejsc swego odlotu.

Aliści ta pewność, że w pobliżu są dziki, napełniła bór drżącym niepokojem. — Coś dudni? — Nie, to chyba naganka się zbliża. — Dudni coraz wyraźniej, trzeszczą chrósty — i znowu przycichło, a nawet okrzyk naganki, choć bliższy, nie tak już namiętny. — Więc dziki są tu gdzieś, między matnią, która je zagarnia, a zasadzką, która na nie czeka, najeżona strzelbami. — Teraz idą niewątpliwie: słychać, jak łamie się przez gąszcz stado — w powietrzu rozszedł się lekki swąd chlewni i załaskotał nozdrza Michała, jak edeński jakiś zapach. — Gdyby tedy! gdyby w tę rzadszą zatokę! — Każdy nerw, każdy muskuł młodego strzelca prężył się i pożądał!

Idą! idą — ale gdzie? — śmigają na lewo, jeden, dwa, trzy . . . jeszcze parę — zaledwie plamy ciemne, szybko przesuwające się poza tą nienawistną przędzą gąszczu i śniegu — cienie, mrzonki już, wspomnienia. — I prawdopodobnie zdobycz dla innych!

Michał opuścił sztuciec i zazdrosnem, rozpaczliwem spojrzeniem przeprowadził znikające stado. W oddaleniu ze trzech stanowisk na lewo padł strzał, potem dwa, szybko jeden po drugim. — Kto tam stoi? — Zdaje się, że sam gospodarz? A może Liebe? ten osioł!

Gdy tak zżymał się Michał, usłyszał na prawo przed sobą skrzypienie śniegu, jakby kto w ciężkich butach zbliżał się kłusem. — Już pewno strzelec z naganki dochodził? — Dość obojętnie zwrócił się w tamtą stronę i naraz osłupiał.

Ogromny odyniec wynurzył się z gąszczu i w chwili gdy go ujrzał Michał, stanął przed nim, ryjem wprost, o jakie czterdzieści kroków. Mgnienie było wzajemnego namysłu, strzelca i zwierza.

— Strzelić go w ryj? niepodobna! — uprzytomnił sobie Michał.

— Wróg! śmierć! — charknął rozgłośnie potwór i, będąc już blisko linji, runął przez nią w najbliższe chaszcze za ostęp.

Ale Rajecki trzymał go już pod wymierzoną lufą, przeprowadził przez linję i w chwili, gdy odyniec zasuwał się za krzak, strzelił. Poczuł, jak mocna kula z biczowym trzaskiem wywinęła się z gwintów, usłyszał, jak palnęła w śmigające cielsko, niby w bęben, i jedno mgnienie czekał, bez oddechu. Dzik migał jeszcze przez krzaki ze dwadzieścia kroków, gładko i ciężko, jak ciągnięta mechanicznie czarna kłoda... W chwili, gdy Michał chciał pociągnąć za drugi cyngiel, odyniec powalił się o ziemię, aż stęknęła.

Strzelec przykucnął, potem wspiął się na palce, wychylał na boki, aby poprzez opadający dym i zawikłane zarośle pożreć oczyma swą zdobycz. Pamiętał jednak, że ze stanowiska zejść mu nie wolno przed dojściem naganki. Ale nie było potrzeby: w rozkopanym śniegu, pomimo osłony gałęzi, widać było nieruchomą masę leżącego dzika, jak czarny pagórek.

Krzyknąłby lub zatrąbił—ledwie, że nie zapłakał. Uczuł gorąco krwi po całem ciele, i bór zawirował mu w oczach. Czekał niedługo, bo już naganka ciekawie dochodziła, a dwaj strzelcy mundurowi, dążąc po ogromnym tropie, zmiarkowali już po odgłosie strzału, że dzik dostał, zobaczyli go teraz leżącego i, winszując Michałowi, podnieśli trąbki do ust; zadzwoniła fanfara: śmierć dzika.

Spiesznie schodzili się na ten odgłos myśliwi, przewidując niezwykły wynik. Ze stada odstrzelono dwa warchlaki, ale mało kto na nie patrzył. Tutaj, gdzie grają trąby, musi być dopiero coś do obejrzenia.

Kilku myśliwych zebrało się wnet na stanowisku Rajeckiego, który starał się opanować gotującą się w nim dumną radość i spokojnie udzielać objaśnień. Patrzono mu w oczy z zazdrością i z uszanowaniem.

— Jakże wyszedł? sam, czy ze stadem?

— Sam szedł.

— To też i pojedynek! ogromna sztuka!

— I jednym strzałem?

— Jednym.

Łowczy Kowalski śpiesznie dochodził do Rajeckiego.

— Miał tu być Chaskiel w ostępie; podobno pan go położył?

— Zabiłem ogromnego dzika — odrzekł Rajecki — co to za Chaskiel?

— Mamy tu takiego. — Największy dzik w lasach, z rudemi bokobrodami, zupełnie fizys grubego Zyda — dlatego tak go nazywamy. Jeżeli to on, to ma pan wenę: bestja nigdy jeszcze na strzał nie wyszła . . .

Z innej strony przybywał książę Jerzy. Raźniej się uczyniło wszystkim od widoku jego pięknej, wysmukłej postaci, rozświecającej krajobraz. Wołał:

— Brawo, Miś, podobno zabiłeś Chaskiela?

— Nie wiem; trzeba go obejrzeć.

— Naturalnie, że go obejrzymy.

Dzik leżał na miejscu, gdzie padł, otoczony wiankiem chłopów i chłopców z naganki, trzymających się jednak opodal od powalonego potwora. Myśliwi i służba łowiecka ruszyli teraz do niego.

Wtem łowczy zatrzymał postępującego z nim księcia Jerzego:

— Niech książę pan uważa: dzik żywy — rusza zadnią nogą.

Przystanęło całe towarzystwo; naganka odstąpiła jeszcze dalej, w niejakim popłochu. Łowczy zaś zawołał jednego z umundurowanych strzelców:

— Hej, Koper, dobądź-no kozika i uspokój tego jegomościa!

Więc Koper obnażył długi kordelas i, skulony drapieżnie, ruszył ku dzikowi. Ale zanim doszedł, odskoczył. Nieruchoma dotąd kłoda ożywiła się niepojętym ruchem. Jakby zbudzony piorunem, dzik odbił się od ziemi z szaloną sprężystością i stanął ogromny, najeżony na karku, mierząc ryjem w zwartą kupę myśliwych, głośno kłapiąc i furkając paszczęką, z której błyskały ogromne kły zakrzywione.

Z wrzaskiem rozbiegła się naganka; wielu powłaziło na drzewa. Tylko myśliwi skamienieli na miejscu, chociaż rozbrojeni, lub niegotowi do strzału.

Ta ich postawa zdecydowała dzika, że nie natarł na nich. Sztywnym gmachem cielska zwrócił się w inną stronę, gdzie mu drogi nie zastępowano, i, przezorny, choć wściekły, runął między drzewa, trafił na sanie zajeżdżające, zepchnął je z drogi potężnem uderzeniem ryja, spłoszył konie i dostał się do gąszczu, przez który sunął zdrowo i silnie, aż zniknął. Padło za nim parę strzałów bezskutecznych.

Dopiero myśliwi, ochłonąwszy, zaczęli rozważać niepospolity wypadek.

— A to złodziej! przyczaił się.

— Omdlał!

— Jakżeś ty go strzelił, Misiu?

Rajecki wzruszył tylko ramionami desperacko.

— To był pewno Chaskiel!

— Nie. To czarny dzik z tych grubych, krótkich; nie miał nic rudego na sobie.

— Takto!? — przecie miał rude wiechy po bokach łba przynajmniej po ćwierci łokcia!

— Gadanie!

— A widzieliście oczki? Kiedy ryj zmarszczył, kłapiąc, to mu te małe oczki świerkały paskudnie. Djabeł na dobrą duszę musi tak spoglądać.

— Dlaczego on właściwie nie rzucił się na nas?

— A no . . . szlachta dotrzymała kroku — staliśmy, jak mur. — A naganiacze stchórzyli — patrzcie! ten jeszcze na drzewie siedzi!

Smiano się nerwowo, ale i biadano. Trzeba przecie posłać w trop za taką sztuką — jest ciężko ranny, skoro leżał bez ruchu. — Jakto on długo leżał? Pewno kwadrans, albo i więcej.— Ostatecznie, źle strzelony.

To było właśnie męką Michała Rajeckiego, który ze zdobytego stanowiska pogromcy odyńca — może Chaskiela? zszedł do poziomu niewprawnego strzelca. — Czy strzelił dzika za krótko, czy za nisko? Dlaczego nie posłał mu drugiej kuli? . . .

LUDWIK BERGER

NAFTA RZĄDZI ZIEMIĄ ŚWIĘTĄ

DLA "TYGODNIKA POLSKIEGO" Z PALESTYNY

W centrach polityki światowej nabrała w ostatnim czasie na znaczeniu sprawa żydowskiej siedziby w Palestynie. Czytając prasę brytyjską czy amerykańską, nadchodzącą z miesięcznem opóźnieniem do Palestyny, można nie bez zdziwienia dowiedzieć się, że kraj położony nad Jordanem przeżywa wzmożone walki narodowościowe i jest w tym czasie objektem szczególnie silnych tarć politycznych pomiędzy Zydami a Arabami. Patrząc na bieg palestyńskiego życia z bliska, widzi się walkę przedstawicielstwa żydowskiego o prawa do zwiększonej imigracji Zydów do ziemi, jakto się tu zwykło mówić, tylokrotnie obiecanej. Przedstawiciele Agencji Zydowskiej, którzy pod koniec września przybyli z Londynu do Jerozolimy, przywieźli z sobą propozycję rządu brytyjskiego zezwalającą na imigrację 1,500 Zydów miesięcznie, a to aż do wyczerpania maksymalnej ilości 75 tysięcy osób mogących na nowo zainstalować się na terenie mandatowym. W przeliczeniu na czas oznacza koncesja imigracyjna przyznana Agencji Zydowskiej plan pięcioletni na sprowadzenie maksymalnej ilości 75 tysięcy Zydów. W dniu 28 września w piśmie "Haaretz" ujawnił członek Agencji Zydowskiej dr. M. Sne (jest to dr. Mojżesz Kleinbaum, działacz syjonistyczny z Warszawy), że naczelne władze żydowskie w Palestynie zdecydowały się odrzucić propozycję rządu brytyjskiego. Agencja Zydowska stwierdza, że w samej Europie przebywa obecnie sto kilkadziesiąt tysięcy Zydów, dla których stało się kwestją życia lub śmierci uzyskanie możliwości natychmiastowej emigracji do Palestyny. Dlatego to "pięciolatka" imigracyjna nie jest, według tego punktu widzenia, żadnym rozwiązaniem palącego zagadnienia imigracji Zydów, szczególnie z krajów Europy wschodniej i środkowej, gdzie zwyciężył system totalizmu państwowego.

Jak wiadomo, wysuwa rząd Wielkiej Brytanji propozycję rozstrzygnięcia całości zagadnienia żydowskiego w Palestynie przez międzynarodową instancję, czyli przez konferencję Narodów Sprzymierzonych. Prasa żydowska uważa, że odstąpienie kwestji palestyńskiej instancji międzynarodowej, będzie oznaczało w dużej mierze traktowanie tej kwestji jako ekonomiczno-politycznej, albo, wyrażając się dokładniej, jako sporu o kontrolę nad źródłami i nad transportem ropy naftowej na Srodkowym Wschodzie. Jeden z poważnych publicystów żydowskich napisał, że gdyby Agencja Zydowska w r. 1933 zawarła z królem Ibn Saudem transakcję w sprawie wyłączności wierceń naftowych — którą w odnośnym roku podpisał Lloyd Hamilton imieniem Standard Oil Company, wypłacając równocześnie tytułem zadatku 30 tysięcy złotych suwerenów — przedstawiałaby się dziś sprawa Zydawskiej Siedziby Narodowej nieporównanie lepiej...

Jeśli łączyć sprawy naftowe na Srodkowym Wschodzie ze znaczeniem mandatu palestyńskiego i związanej z tym mandatem roli Zydów w Palestynie, to trzeba stwierdzić: Palestyna jest stacją końcową względnie punktem wypływowym dla naftowego rurociągu; Palestyna jest potencjonalnie poważnem źródłem eksploatacji ropy. Jest rzeczą postanowioną, że poza istniejącym rurociągiem naftowym do Haify, ma być wkrótce zbudowana pipeline z Iraq Petroleum Company w Kirkuku i Mossulu do portów palestyńskich. Już dziś znajdują się rafinerje haifskie w stanie tak poważnej rozbudowy, że po zakładach rafineryjnych w Abadan, uchodzą za największe na Srodkowym Wschodzie. Nie jest jeszcze znana decyzja amerykańska, która rozstrzygnie czy nafta z Saud Arabji będzie również skanalizowana do Palestyny. Istnienie pokładów ropnych na terytorjum Ziemi Swiętej jest od szeregu lat stwierdzone. Dwa międzynarodowe towarzystwa są posiadaczami praw wiertniczych. Jedno z tych towarzystw należy do Iraq Petroleum Company, drugie do Palestine Potash Co. (towarzystwo eksploatacji złóż Morza Martwego).

Centralna organizacja żydowskich związków zawodowych w Palestynie "Histadrut" poczyniła praktyczne przygotowania dla stworzenia żydowskiej kadry specjalistów naftowych wiertniczych i rafineryjnych. Z inicjatywy i za pośrednicstwem Histadrut wyruszyło kilka tysięcy Zydów z Palestyny do prac naftowych w różnych ośrodkach Middle East. Nad Zatoką Perską, w rafinarjach Abadan, należących do Anglo-Iranian Oil Co. zatrudnieni są w dużym odsetku Zydzi. Są mechanikami, instalatorami rur przewodowych, wiertnikami, inżynierami, pracują w laboratorjach chemicznych i w administracji. Do tych prac zaangażowała Zydów palestyńskich formalnie firma przemysłowa w Haifie pod nazwą "Solel Boneh". Przedsiębiorstwo Solel Boneh było przd kilku laty prywatną spółką akcyjną. Wciągu wojny wykupiła żydowska centrala związków zawodowych wszystkie akcje Solel Boneh, rozbudowała działy konstrukcyjne i odlewnie żelaza do tego stopnia, że mogła stać się najpoważniejszym kontrahentem armji aljanckich na Srodkowym Wschodzie w zakresie metalurgicznych dostaw. Ze stron arabskich dawano w ostatnim czasie wyraz przypuszczeniom, że żydowska "etatystyczna" firma Solel Boneh nie bez powodu przeszkala we wszystkich punktach Srodkowego Wschodu kadrę techników i organizatorów przemysłu naftowego. Obawy Arabów idą w kierunku podejrzewania organizacji żydowskich o przygotowywanie się do samodzielnego uruchomienia eksploatacji ropy w Palestynie. W tym wypadku stałby się syjonizm z ruchu politycznego, ruchem ekonomicznym. Syjonizm produkujący naftę przestałby — jak myślą jedni — być tylko objektem polityki międzynarodowej, a stałby się jej subjektem. Syjonizm — jak myślą inni — po zabezpieczeniu sobie poważnej pozycji w produkcji ropy naftowej i w kontroli nad całością sieci rurociągowej ropy na Srodkowym Wschodzie, stałby się organizacją finansowo samowystarczalną, uniezależnioną od pomocy Zydów anglo-saskich, a wskutek tego uniezależnioną od wpływów zagranicznej polityki państw anglosaskich...

WIECZORY RODZINNE

Pod Redakcją IRENY LORENTOWICZ

ROZSTRZYGNIĘCIE I KONKURSU "WIECZORÓW RODZINNYCH"

Czytelnicy nasi skwapliwie odezwali się na wezwanie do wspólnej zabawy w "Zgaduj-zgadula" i na pierwszy nasz konkurs nadeszło 16 odpowiedzi zarówno z Nowego Yorku jak też z innych miast Stanów Zjednoczonych i Kanady. Z pośród tych odpowiedzi trzy okazały się zupełnie dobre, jedna zaś zaspakaja wszystkie wymogi konkursu, określając nietylko postacie z literatury polskiej, które należało odgadnąć — ale również ich stroje. Odpowiedź tę nadesłał inż. MICHAŁ FEUER, 162 Madison Avenue, Toronto, Ont., Canada, który otrzymuje też 1szą nagrodę, pierwszego naszego konkursu, egzemplarz "Pobojowiska" Wierzyńskiego z własnoręczną dedykacją autora. Inż. Feuer, pierwszy nasz laureat wchodzi więc do ściślejszego konkursu, który rozstrzygnięty będzie przy końcu roku pomiędzy temi, którzy odgadną wszystkie nasze zagadki. Przypominamy, że w tych zawodach nagrodą będzie przedmiot wartości $50. Odpowiedź inż. Feuera, która jest pełnem rozstrzygnięciem naszego konkursu brzmi jak następuje:

I KONKURS "WIECZORÓW RODZINNYCH"

Czyje to ubranie? Kto w jakim utworze strój taki nosił? Czy strój ten ma jakąś specjalną nazwę?

1) Wojskiego. Wojski w "PANU TADEUSZU" Mickiewicza. Żupan i konfederatka.

2) Izy. Izabella w "LALCE" Prusa. Suknia spacerowa.

3) Balladyny. — Balladyna w "BALLADYNIE" Słowackiego. Strój ludowy, zapaska, postoły.

4) Urszuli. Urszulka w "TRENACH" Kochanowskiego. — Giezło.

5) Zagłoby. Zagłoba w "TRYLOGJI" Sienkiewicza. Kontusz i pas słucki.

6) Anieli i Klary. Aniela i Klara w "ŚLUBACH PANIEŃSKICH" Fredry. Krynoliny.

7) Stańczyka. Stańczyk w "WESELU" Wyśpiańskiego. Strój błazeński.

8) Salomei. Salomea w "WIERNEJ RZECE" Żeromskiego. Strój z okresu 1863 (patrz Grottger).

9) Boryny. Boryna (ojciec) w "CHŁOPACH" Reymonta. Strój łowicki (księżacki, strój ludowy) rzekomo oparty na naśladownictwie stroju papieskiej straży szwajcarskiej).

Panna Elżbieta Buchel, 2345 Euclid Hts. Blvd. Cleveland 6, Ohio i pani Felicja Lilpop-Krancowa, 740 Madison Ave., New York 21, N. Y. odgadły wszystkie postacie naszego konkursu, nie podając jednak nazw ich strojów.

Na podstawie dokonanego losowania przyznaliśmy:

II NAGRODĘ, półroczną prenumeratę "Tygodnika Polskiego" p. Felicji Lilpop- KRANCOWEJ.

III. NAGRODĘ serję artystycznych kart pocztowych, wydanych przez Tygodnik Polski, p. Elżbiecie BUCHEL.

Wśród pozostałych odpowiedzi 4, zawierają jeden i ten sam błąd, mianowicie zamiast Urszulki z TRENÓW, podają "Danusię z KRZYŻAKÓW, jedna zamiast Izabelli z LALKI — Hrabinę z GRZECHÓW DZIECIŃSTWA, jedna zamiast Zagłoby — Podkomorzego z PANA TADEUSZA, jedna zamiast Salomei z WIERNEJ RZEKI — Księżniczkę z POPIOŁÓW. Najmniej trafna odpowiedź — zawiera 4 błędy.

Rezultat I-ego konkursu, który nie był bynajmniej łatwy uważamy za bardzo zadawalający, świadczący o obeznaniu naszych czytelników z naszą literaturą i o ich ochocie do zabawy, którąśmy rozpoczęli. Będziemy więc prowadzić ją z tem większą ufnością, że dostarczamy rozrywki godziwej budzącej rzewne wspomnienia i zdrową ciekawość. Pamiętajcie więc drodzy czytelnicy o drugim naszym konkursie. — Zgaduj-Zgadula!

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Zapowiedź zwołania, w najbliższych dniach, nowej konferencji ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Trójki — (Wielką Piątkę znowu schowano do dyplomatycznego lamusa) — jest dowodem nietyle giętkości, ile zygzakowatości amerykańskiej polityki zagranicznej. P. Byrnes i, pod naciskiem amerykańskim, również p. Bevin ruszają do Moskwy, bez reprezentantów Francji i Chin. Moskwę bowiem, jak to niedwuznacznie podkreślał Mołotow w Londynie, uważa Stalin za jedynie właściwe miejsce dla odbywania narad konferencyjnych. Dlaczego, rzecz to wiadoma. Nie będzie tam natrętnej prasy miejscowej, zaś korespondentów obcych załatwi, według instrukcji Mołotowa, sowiecka cenzura. Zresztą, rzecz to również znamienna, Washington zgóry zapowiada, że delegacje anglo-saskie jadą bez przedstawicieli prasy amerykańskiej i brytyjskiej.

Jesteśmy dzisiaj świadkami dyplomatycznych podskoków, na wzór słynnej procesji, tylko zmienionej, w luksemburskim Echternach: jeden skok naprzód , trzy w tył. Nie ulega bowiem wątpliwości, że nowa konferencja w Moskwie jest przejawem dezorjentacji i braku wytycznej linji dyplomacji amerykańskiej. W Moskwie nie będzie się bynajmniej mówić głównie o bombie atomowej, pomimo iż w urzędowych komunikatach wysuwa się na pierwszy plan tę właśnie sprawę. Będzie się tam mówić o Bałkanach, o Persji, o Niemczech, o Chinach i Korei, o sprawach zatem co do których Rosja sowiecka nie życzy sobie wtrącania się Chin i Francji. Bomba atomowa będzie tylko przedmiotem dyplomatycznego handlu, niczem więcej.

Najtrudniejszą będzie w Moskwie pozycja Wielkiej Brytanji. Nie Stany Zjednoczone, jeno Wielka Brytanja odczuwa dzisiaj, bezpośrednio, najsilniej nacisk sowieckiego imperjalizmu i, z tego względu, Londyn ujawnia najsilniejszy opór i rozwija najczynniejsze kontrakcje. Na zaznaczenie zasługuje informacja, podana przez jedno z nowo-yorskich pism pro-sowieckich, mianowicie, że do Moskwy jedzie, jako reprezentant brytyjski, nie Bevin tylko Attlee — owca w owczej skórze, jak go złośliwie nazwał niedawno Churchill. Bo Bevin, to człek wybuchowy, twardy i przemawiający językiem nierzadko ostrym, rażącym uszy t. z. zawodowej dyplomacji. Gdyby ta wiadomość była prawdziwa, dopełniła by kompletu sprawdzianów, przy pomocy których można już a priori oceniać zamiary i inklinacje, które skłoniły były P. Byrnesa w ciągu jednej źle przespanej nocy — do wystąpienia z inicjatywą zwołania nowej konferencji 3 ministrów spraw zagranicznych i to właśnie do Moskwy. Prasa komunistyczna amerykańska uderza już w ton ostry, dając do zrozumienia, że o ile P. Byrnes chce pozytywnych wyników, jego podróż musi być dyplomatyczną pielgrzymką do Canossy.

Francja, odsunięta, niewątpliwie na skutek żądań Sowietów, od udziału w naradach moskiewskich, zapowiada przez usta swego ministra spraw zagranicznych Bidault, że nie uzna niczego, co zostanie powzięte w Moskwie bez udziału Francji. W Paryżu bowiem obawiają się, że w Moskwie może dojść — końskim targiem — do uregulowania kwestji Niemiec i, że żądania francuskie w sprawie Nadrenji i obwodu Ruhr'y, mogą być nieuwzględnione. Również o ile idzie o zagadnienia Dalekiego Wschodu, Francja obawia się, że w Moskwie mogą naruszyć interesy francuskie w Indo-Chinach. Z tych to powodów, odsunięcie Francji od narad moskiewskich wywołuje w Paryżu silne podrażnienie i dążność do nieuznawania ewentualnych decyzji konferencji moskiewskiej.

Sytuacja w Iranie gmatwa się nadal. Rząd sowiecki odrzucił propozycję amerykańską, dotyczącą natychmiastowego, t. j. do d. 1 stycznia roku nadchodzącego, wycofania wszystkich oddziałów obcych, okupujących Iran. Noty sowieckie są, jak zazwyczaj, krętackie; operują, jak żonglerzy talerzami, różnymi układami i protokółami, a wszystko aby udowodnić, że dalsze okupowanie północnego Iranu przez wojska sowieckie jest zgodne z temi układami i protokółami. Rząd irański utworzył radę byłych premjerów, dla podparcia swej pozycji wewnętrznej i zewnętrznej. Moskwa oskarża Wielką Brytanję, że taka rada byłych premjerów to pomysł wywiadu wojskowego brytyjskiego, posługującego się irańskim sztabem generalnym i, że rada taka — to przygotowanie do "rekcyjnego zamachu stanu".

Podczas kiedy Rząd sowiecki nie chce wycofać swych wojsk z Iranu północnego, i prowadzi w tej spornej sprawie wymianę not z Washingtonem, moskiewska "Prawda" drukuje informacje, że ludność Islandji jest "wzburzona" z powodu przedłużającego się zajmowania baz lotniczych i morskich przez wojska amerykańskie. Ludność w Iranie północnym "zachwycona" w Islandji "wzburzona" — oto "prawda", na jakiej się opiera dyplomacja sowiecka.

W POPRZEDNIM 48 (153) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Ś. P.
EWA MATUSZEWSKA
(MEWA)

harcerka, pilot szybowcowy C., studentka medycyny, żołnierz Armji Krajowej w konspiracji i walce, poległa w Powstaniu Warszawskiem dn. 6 września 1944 r., w bohaterskiej obronie rannych jako komendantka patroli sanitarnych kompanji O. Mokotów, przeżywszy lat 25.

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

POSIEDZENIE WYDZIAŁU STANOWEGO KONGRESU POLONJI

Wydział Stanowy Kongresu Polonji na południową część stanu New York odbył w niedzielę dn. 9 br. pierwsze walne sprawozdawcze zebranie za pierwszy okres swej działalności. Zebranie było liczne, dobrze obesłane przez delegatów, z których niektórzy przeszło stumilową podróż odbyli w dzień wypoczynkowy, aby wziąść udział w tej ważnej naradzie. Po pięknej inwokacji księdza Mrozińskiego, prezes Franciszek Jan Wazeter wygłosił długą mowę, mocną, zdecydowaną, zapowiadającą walkę nieustępliwą i przeciwstawienie się stanowcze tym wszystkim, którzy chcą ukryć prawdę o Polsce i uśpić sumienie Ameryki. Odczytane sprawozdanie z działalności Wydziału dowiodło, że Wydział pod niezwykle sprężystem i pełnem inicjatywy kierownictwem mec. Wazetera dokonał rzeczy bardzo istotnych w dziedzinie propagandy prasowej, interwencji u władz i akcji bezpośredniej, wysuwając się niewątpliwie pracą swą do pierwszego najbardziej aktywnego szeregu Wydziałów Stanowych. Pani Srutkowska, sekretarz Tomaszewski, pan Bobiński, skarbnik p. Zieliński — w swoich szczegółowych sprawozdaniach jeszcze bardziej te wyniki doskonałe uwydatnili. Pan Władysław Chybowski jeden z trzech delegatów Wydziału na Zjazd Kongresu w Detroit zdał sprawę z tych obrad — niezwykle, bardzo politycznie, bardzo jasno i w formie oratorskiej nieposzlakowanej. We wszystkich przemówieniach przebijała się decyzja niezłomna walczenia dalej z obojętnością wobec krzywdy Polski i o wolność prawdziwą świata jak też postanowienie zupełnego odcięcia się od wszelkich Quislingów jawnych i zamaskowanych. W tym duchu zapadły też rezolucje i w imię tych zadań przeprowadzona kolekta dała piękne wyniki. Na zakończenie prezes Wazeter w pięknych słowach, za które dziękujemy mu najmocniej przedstawił znaczenie i potrzeby "Tygodnika Polskiego"; p. dr. Obierek dyrektor naszego wydawnictwa szerzej tę sprawę rozwinął, zwracając uwagę na zbieżność pracy naszego pisma i Wydziału, któremu złożył gorące powinszowania osiągniętych przez niego wyników.

———

PREZES ROZMAREK NA KONGRESIE LITEWSKO AMERYKANSKIM W CHICAGO

W dniach 29-30 listopada i 1go grudnia odbyła się w Chicago, w hotelu Congress — konwencja Kongresu Amerykanów litewskiego pochodzenia. Jednym z gości był prezes Kongresu Polonji Amerykańskiej, p. Karol Rozmarek. Przemówienie Prezesa Rozmarka, którego na salę obrad wśród hucznych oklasków wprowadził Dr. Pius Grygaitis, sekretarz Kongresu Litewskiego, a zarazem redaktor dziennika Lithuanian Daily News w Chicago, było przyjęte entuzjastycznie przez blisko tysiąc delegatów.

W przemówieniu swym p. Rozmarek powiedział, że obrona ideałów demokracji i wolności dla wszystkich narodów winna dziś być hasłem wszystkich Amerykanów bez względu na pochodzenie. Polityka ustępstw wobec Rosji — mówił prezes Rozmarek — nie zapobiegnie przyszłej wojnie, ale przeciwnie — może być jej powodem, tak jak polityka ustępstw wobec hitlerowskich Niemiec była głównym powodem tej wojny światowej.

Po przemówieniu prezesa Rozmarka Izba urządziła mu wielką owację.

Prezes Rozmarek otrzymał zaproszenie i będzie przemawiał 9 grudnia na konwencji Kongresu Amerykańsko-Kroackiego w Chicago. W tej sprawie złożyli mu w tych dniach wizytę przedstawiciele katolickiego kleru kroackiego oraz reprezentanci poszczególnych organizacyj.

———

O SKUTECZNĄ POMOC DLA LUDNOŚCI POLSKI

Pięćset tysięcy sierot, 80% dzieci, 35% młodzieży akademickiej zaginionej lub chorej na gruźlicę, około miljona dzieci bezdomnych, ponad dwa miljony dzieci należy dożywić w szkołach — oto najbardziej przeraźliwe dane z Polski podane na konferencji prasowej przez p. Krasickiego, delegata YMC przybyłego niedawno z Polski.

Lista potrzeb ludności w Kraju jest ogromna. Właściwie potrzeba wszystkiego — brak wszystkiego. Brak żywności, odzieży, bielizny, obuwia, sprzętu domowego, urządzeń i wyposażenia szpitali, lekarstw, brak przyborów szkolnych, książek.

Zima już przyszła, ale pomoc dla ludności polskiej nie nadeszła, a właściwie (czego oczywiście p. Kracicki nie powiedział) obecny reżim nie zezwolił na dowóz tej pomocy z Ameryki. Wiemy dokładnie, że kilka organizacji reliefowych zabiegało niemal od roku o zezwolenie wysyłki tej pomocy do Polski. Zebrano środki, materjały i kołatano bezskutecznie do "rządu warszawskiego". Względy polityczne i tylko to względy stały na przeszkodzie.

Nie chciano mieć świadków zagranicznych przy dokonywaniu rozmaitych gwałtów i zbrodni na ludności polskiej. Marjonetkowy reżim przy pomocy NKWD ugruntował się, to jest tępił bezwzględnie całą A.K. i wszystkich innych nie godzących się z polityką narzuconego Polsce rządu.

Przez szereg długich miesięcy pomocy do Polski nie wpuszczano, a pomoc, która przyszła z UNRRA była w większości rozkradana lub odrazu z portów wywożona do Rosji. Skutki tej polityki są aż nadto widoczne. Po 6-cio letniej gehennie okupacji niemieckiej, po wytraceniu przeszło 6 miljonów ludności, przyszło "wyzwolenie", które poza bezpośredniemi skutkami (rozstrzeliwania, wywozu na Sybir, zamykania do obozów koncentracyjnych itd.) dzisiaj ludność polska opłaca wielką śmiertelnością i straszną nędzą.

Ciężkie mają dziś zadanie ci, którzy nawołują o pomoc dla Narodu Polskiego. Muszą oni nietylko jej dostarczyć ale również odpowiedzieć dlaczego do dzisiaj tej pomocy nie wpuszczono oraz co stanie się z tą pomocą jeśli obecnie zostanie wysłana. Czy dojdzie ona do właściwych rąk, kto będzie rozdzielał i wadług jakich zasad będzie ta pomoc tym nieszczęśliwym ludziom przyznawana. Ameryka, szczególnie zaś Polonja pragnęła nieść tę pomoc bez względu na to jaki panuje reżim w Polsce ale chce ona naprawdę pomóc nieszczęśliwym, nie zaś dawać do ręki znienawidzonemu przez Naród Polski rządowi broni, która umożliwiałaby mu dalsze gnębienie zbiedzonej a tak bohaterskiej ludności.

DZIAŁALNOŚĆ INSTYTUTU JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Po Zje,dzie Komitetu Narodowego Amerykanów Polskiego Pochodzenia w Detroit odbyło się zebranie członków Instytutu Piłsudskiego w Ameryce.

Z obszernego raportu, złożonego przez dyrektora Instytutu, p. Wacława Jędrzejewicza, wynika, że Instytut idzie naprzód i dokonał już kilku ważnych dzieł.

Jest już na ukończeniu drukowanie dzieła p. t. "Sprawa Polska w Parlamencie Angielskim".

Do Instytutu zgłosił się b. szef polskiego sztabu, gen. Stachiewicz, opisujący fachowo przygotowania Polski do wojny z Niemcami, gen. Kutrzeba, opisujący walki nad Bzurą, zwłaszcza słynną bitwę pod Kutnem.

Film o życiu Piłsudskiego, darowany instytutowi przez p. Kupferwassera z Chicago, przedstawiający epizody z całego niemal życia i działalności Piłsudskiego od r. 1905, znjduje się w laboratorjum do przeróbek i utrwalenia go.

Ofiarność Polonji na cele Instytutu wciąż wzrasta, m. inn. p. Franciszek Januszewski ofiarował w zeszłym roku $2,000. Oczywiście, jednak nowe zadania pociągają za sobą i większe niż dotąd wydatki.

Wszyscy mówcy na zebraniu pp.: Januszewski, Kupferwasser, min. Rajchman, prezes Łodzieski, podkreślali konieczność dalszego wysiłku dla coraz rozszerzającej się pracy Instytutu.

DAR DLA BISKUPA BONY

Polskie Koło Katolickie w Chicago, ofiarowało ks. biskupowi Bonie piękny dar w postaci obrazu artysty polskiego, zamieszkałego w Chicago, p. Władysława Krawca, przedstawiającego konsekrację ks. biskupa. Dar został wręczony biskupowi na uroczystem zebraniu przez sędziego federalnego Władysława Le Buy.

POLONIA Z KANADY NABYŁA AMBULANS DLA POLSKI

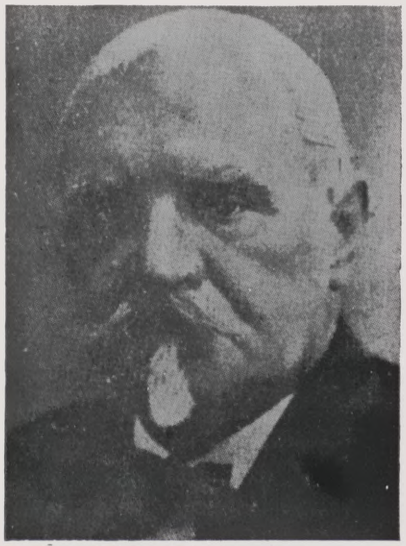
Polonja kanadyjska pragnąc przyjść z pomocą rodakom naszym cierpiącym nędzę i pozbawionym odpowiedniej pomocy lekarskiej, nabyła ze składek dobrowolnych przeprowadzonych pomiędzy organizacjami i osobami pojedyńczemi w Kanadzie ambulans, który będzie przeznaczony dla ruchomych szpitali w Polsce.

OPINJE I ZDARZENIA

ZGON JANUSZA RADZIWIŁŁA

Zmarł w Kałudze ks. Janusz Radziwiłł, jeden z najwybitniejszych polityków polskich przedwojennego okresup, w początku tej wojny uwięziony i skazany na śmierć przez bolszewików, później zaś po ponownem zajęciu Polski przez Sowiety — wywieziony w dal rosyjską. Był on w niepodległej Polsce przywódcą konserwatystów, współpracujących z marszałkiem Piłsudskim, posłem i prezesem sejmowej komisji spraw zagranicznych. Nie był to talent polityczny, ale osobistość niezwykła przez swój gorący patrjotyzm, nieposzlakowany charakter, urok osobisty. Syn ks. Ferdynanda Radziwiłła, prezesa Koła Polskiego w Berlinie odmówił zmarły po wybuchu wojny wszelkiej współpracy z Niemcami, korzystając natomiast z wielkiej międzynarodowej sytuacji osobistej, pomagał komu i jak mógł, ratując rodaków od głodu i śmierci.

MIRIAM - PRZESMYCKI



Śp. Zenon Przesmycki (Miriam)

O śmierci Miriama-Przesmyckiego o której pisaliśmy w "Tygodniku" p. Irena Lorentowicz otrzymała następujące dramatyczne szczegóły zawarte w liście z Polski:

"Mieszkanie Miriama zburzyła bomba. Sam był lekko ranny i ciężko poparzony odpryskami pocisku z miotacza min, zwanego przez nas w Powstaniu "krową ryczącą". Plac Napoleona był pod straszliwym obstrzałem więc i Mazowiecka także, z niego stopniowo wykurzano lub spalano reszty Mazowieckiej. Gdym tam poszedł 8-go września placówka A. K. na Jasnej przy Swiętokrzyskiej oświadczyła, że Mazowiecka od wczoraj jest całkowicie w ręku Niemców. Dopiero w grudniu dowiedziałem się, że Miriam umarł na skutek oparzeń 17 października w szpitalu na Zórawiej 31 i na chodniku przed nim był pochowany bez tabliczki. Po długich trudach udało mi się odnaleźć ciało, wydobyć je i własnoręcznie godziwie pochować d. 17 maja 1945 r. w jego grobie rodzinnym."

UMARŁ KS. AUGUSTYN JAKUBISIAK

Ks. Augustyn Jakubisiak, filozof i pedagog, zmarł w Paryżu gdzie oddawna osiadł i gdzie ogłosił liczne prace filozoficzne bardzo wysoko cenione w sferach naukowych francuskich. Indywidualność niezwykła, Ks. Jakubisiak zgromadził wokół siebie grono młodych badaczy, na których wywarł wielki wpływ i prowadził ich do samodzielnej twórczości. Był on doskonałym kaznodzieją i wykładowcą, przez jakiś czas po uwolnieniu Francji — sprawował też w naszej ambasadzie funkcje attache do spraw kulturalnych.

LOSY GENERAŁA PRUGARA

Wśród dowódców polskich, którzy z tych czy innych względów dali się złudzić nadziei, że powróciwszy do Polski będą mogli coś zdziałać i korzystać z wolności służenia Polsce był też generał Prugar-Ketling, dowódca oddziałów polskich, internowanych w Szwajcarji, dzielny żołnierz, ale politycznie słaba głowa, skoro w niej taki prowincjonalny machjawel jak pan Łados mógł zawrócić. Według wieści niesprawdzonych, ale wiarogodnych generał Prugar, przybywszy do Polski nie został wogóle przyjęty do armji i ofiarowano mu podrzędne stanowisko w administracji.

SZTUKA HEMARA W NOWYM YORKU

Jed Harris wystawi w przyszłym sezonie na Broadway'u sztukę Marjana Hemara "Cud prostych ludzi" wydaną drukiem i graną, jak wiadomo, z wielkim powodzeniem w Dublinie.

KSIĄŻKA AMBASADORA CIECHANOWSKIEGO

Ambasador Ciechanowski, napisał książkę, która zawiera historję jego pięcioletniej misji w Stanach Zjednoczonych, zaczętej wśród pięknych, padających tu z wysoka słów o wolności,

sprawiedliwości, prawie narodów — a zakończonej cofnięciem uznania rządowi, który przewodził najbardziej bohaterskiej walce podziemnej i pod którego rozkazami zostawali zdobywcy Monte Cassino. Książka nie jest podobno polemiczna i jest oparta tylko na najściślejszych dokumentach. Ale wiemy dobrze, że właśnie te dokumenty przemawiają nieodparcie przeciw niewoli Europy i dlatego oczekujemy książki ambasadora Ciechanowskiego jako zarazem wielkiej sensacji politycznej i naprawdę politycznego aktu.

KSIĄŻKI BIBLJOTEKI POLSKIEJ W PARYŻU ODNALEZIONE W LIGNICY

W Lignicy wśród 211 skrzyń książek polskich, ukrytych tam przez Niemców, odnaleziono 117 skrzyń książek, skradzionych z Bibljoteki Polskiej w Paryżu.

Książki te zdeponowano w Bibljotece Narodowej w Warszawie.

OPINJE PANI ELEONORY

Jest rzeczą znaną, iż panie naogół nie lubią się między sobą. Nie tyczy się to tylko pań zwykłych, ale też wielkich aktorek i królowych. Pani Eleonora Roosevelt wyraziła się podobno o pani Chiang-Kai-Shek, że "wprawdzie mówi ona o demokracji, ale nigdy jej w życiu nie stosowała". Widać z tego zdania, że pani Roosevelt nie lubi pani Chiang-Kai-Shek, bo przecież wszyscy wiedzą, że ta znakomita kobieta uczyniła dla demokratyzacji swego kraju tyle akurat co założyciele Stanów Zjednoczonych dla swego. Ze przytym ma zachowanie się wielkiej damy to oczywiście nic demokracji nie przeszkadza a nawet znakomicie się z nią godzi. To oświadczenie pani Roosevelt w chwili gdy idzie podstępna robota przeciw Chinom Chiang-Kai-Sheka naprawdę demokratycznym i narodowym ma oczywiście swój polityczny posmak. Sugeruje ono pośrednio, że pani Chiang-Kai-Shek nie jest demokratką, ale że są niemi pani Mołotow czy pani Berja (czy jest taka?) Ciekawe jest czy pani Roosevelt naprawdę w to wierzy.

FAŁSZYWA SKROMNOŚĆ

Sacha Guitry, znany autor i aktor francuski przebył jakiś czas w obozie dla kolaboracjonistów, gdyż w czasie okupacji — pełen był względów dla okupantów. Ale w Paryżu zapomniano zbyt łatwo o takich rzeczach i Sacha Guitry został pewnego dnia zaproszony do jednego ze znanych salonów paryskich. Niepewny przyjęcia, Sacha stanął na uboczu, badając wzrokiem czy może ryzykować zetknięcie z obecnemi. Pewna dama roztargniona, pyta go:

"Dlaczego Pan stoi tak skromnie?" Na to Sacha Guitry "Ach! bo tutaj jest tyle ludzi". W tej chwili odzywa się jakiś głos z boku "Niech Pan się nie boi, skoro tylko Pana zobaczą napewno połowa obecnych wyjdzie."

HUMOR WANDY LANDOWSKIEJ

Wielka artystka Wanda Landowska jest nietylko mistrzynią niedościgłą w swej sztuce, jest zarazem kobietą o niezwykłej inteligencji, sędzią niezawodnym swych własnych dokonań, tego co robią inni artyści i posiada dowcip, ostry i trafny, którym decyduje bez apelacji o wartości ludzi i rzeczy. Kiedyś w jej cudownej szkole w St. Leu la Foret, po koncercie niebywałym, jakiś krytyk cudzoziemski zaczął się mądrzyć nad interpretacją Wandy, bez sensu i pojęcia chwaląc lub ganiąc jej wykonanie. Wanda słuchała go zdumiona i nareszcie powiedziała z czarującym uśmiechem: "Ależ Panie, pan siedzi na swoich uszach!"

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Publisher and Editor:
Jan Lechoń
Adm. and Business Manager:
Dr. Leopold Obierek

Subscription
Monthly 80 cents
Half Yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

